

Rewolucja agrarna w Poznaniu

Dzisiaj mija dwudziesta rocznica ogłoszenia dekretu PKWN o reformie rolnej, dekretu, który stał się podstawowym aktem rewolucji agrarnej w Polsce. Równie doniosły jak dekret o nacjonalizacji przemysłu — zadecydował on o przeobrażeniu ustrojowym: gospodarczym i społeczno-politycznym, wytyczającym drogę demokracji i socjalizmu na wsi w naszym kraju.

Trudno w krótkim artykule dokonać oceny ogromu przemian szczególnie w Wielkopolsce, gdzie rewolucja agrarna miała odmienny przebieg niż w tzw. ziemiach dawnych, a to ze względu na specyficzne warunki, w jakich rozwinęło się rolnictwo wielkopolskie. Wielka liczba majątków obszarowych, skupiających jeszcze w 1921 roku 53,5 procent ogólnego arealu gruntów, a w związku z tym, liczebność proletariatu rolnego (robotników rolnych było w 1931 r. — 205.500), wreszcie spora liczba gospodarstw niemieckich — to wszystko nie mogło być pominięte w polityce parcelacyjnej.

Uwzględniając to Manifest PKWN, w którym m. in. powiedziano, iż w skład Funduszu Ziemi wchodzi na terenach przyłączonych w czasie okupacji do Rzeszy — w zasadzie grunty gospodarstw obszarowych powyżej 100 hektarów (w innych rejonach kraju już powyżej 50 hektarów). Reformie rolnej podlegały ponadto ziemie niemieckie, zdrajców narodu, należące do skarbu państwa.

„Ziemie skupione przez Fundusz Ziemi, z wyjątkiem przeznaczonych na gospodarstwa wzorowe (Ośrodki Kultury Rolnej — przyp. MK), rozdzielone zostaną pomiędzy chłopów małorolnych, średniorolnych oraz drobnych dzierżawców oraz robotników rolnych” — czytamy w Manifestie PKWN.

Zasady te utrzymano w dekrete wrześniowym, z tym że w Wielkopolsce, ze względu na dużą liczbę proletariatu rolnego, trzeba było wydzielić największy areal gruntów właśnie dla robotników folwarcznych. Przekazywana za opłatą ziemia (cena 10—15 kwintali żyta za hektar, w parcelacji przedwojennej — 150 kwintali żyta za hektar), spłacana później w dogodnych ratach, stanowiła własność indywidualną nadziewanych, co dokumentowano od razu aktami nadania.

Parcelacja, zwłaszcza majątków obszarowych, odbywała się z wielkimi trudnościami. Mimo głodu zie-

mi w przeludnionych województwach, trzeba było przekonywać niektórych nadziewanych, że otrzymują naprawdę ziemię na własność. Trzeba było pokonać takie przeszkody, jak działalność terrorystyczna podziemia, utrudnienia ze strony urzędów ziemskich, oparowanych w wielu wypadkach przez byłych obszarników, nagonkę prawicy społecznej (PSL), zwłaszcza w okresie działalności Mikołajczyka. Były też fakty reperytywacji majątków na podstawie wyroków sądowych (fikcyjne podziały), choć nie w Wielkopolsce. Nie można też było pominąć niesłychanie trudnych warunków ekonomicznych ówczesnego rolnictwa, ze względu na ogromne straty wojenne w inwentarzu żywym i martwym. Z tym wszystkim musiał się uporać jeszcze licznie aktywny partyjny najbardziej konsekwentnej w realizacji reformy rolnej — Polskiej Partii Robotniczej.

Dzięki parcelacji, uległa całkowitej zmianie struktura gospodarstw rolnych i społeczno-zawodowa ludność wiejskiej. Przede wszystkim zostało zlikwidowane ziemiaństwo jako klasa społeczna, które stanowiąc przed wojną znikomą odsetek ludności, miało w swych rękach prawie połowę ziemi. Wystarczy przypomnieć, że tylko kilka rodzin magnackich, reszta spokrewnionych z sobą, posiadała w 1918 roku włości, obejmujące 398 000 hektarów. Sama ordynacja Zamojskich miała 191 000 hektarów, rodzina Radziwiłłów dysponowała arealem 177 000 hektarów.

Tym większe znaczenie w tej sytuacji miała akcja propagandowa na rzecz reformy rolnej. W odezwie KW Polskiej Partii Robotniczej, WK Polskiej Partii Socjalistycznej, ZW Stronnictwa Ludowego i ZW Stronnictwa Pracy, wydanej 23. III 1945 roku w Poznaniu, czytamy m. in.:

„Demokratyczne państwo polskie nie godzi się z tym, aby ziemia stała się zlotodajną krową dla panów Radziwiłłów, Sanguszków, Sosnkowskich (dobra w Wielkopolsce — przyp. MK) itd... Odtąd nie ma już dziedziców po naszych dworach. Wszystko co pańskie, przechodzi na własność Twoją, na własność wsi polskiej. Nasze demokratyczne państwo wyrównuje wielką niesprawiedliwość społeczną. Ziemię oddaje tym, którzy na niej pracują.”

Dzięki reformie rolnej, przeprowadzonej w latach 1944—1949, przekazano chłopom 6 070 100 hektarów

Dokończenie na str. 2

Wielkopolska Tygodnia

WYDAWCA: GŁOS WIELKOPOLSKI

Nr 151 6. IX. 1964 r. Rok IV

Szkoła ta, choć tak niezwykła, bynajmniej nie jest z zewnątrz czymkolwiek ekspozycyjna. Nie ma nowego, uwzględniającego najnowsze wymogi, budynku, nie jest położona w centrum Moskwy. Długo jej szukałem przy Warszawskiej Szosie, po przeszedł godzinę jeździe metrem oraz autobusem. Szary, niepozorny budynek rozczarował mnie. Potem zrozumiałem, że w ten sposób chciano podkreślić roboczy charakter wypróbowanych tu eksperymentalnych metod wychowywania.

Zaczyna się od tego, że gościa — obojętnie swojego czy zagranicznego, nauczyciela czy też, jak w tym przypadku, dziennikarza — przyjmuje nie dyrektor bądź jego zastępca, lecz przewodniczący Rady Szkolnej. Rada ta, wybierana przez młodzież, w istocie rzeczy rządzi szkołą, decyduje o wielu całkiem zasadniczych zagadnieniach wychowawczych, dydaktycznych, administracyjnych, gospodarczych. Więc właściwie wszystkich. A co robi dyrektor, nauczyciele? Oni pełnią rolę pewnego rodzaju konsultantów, doradców, obserwują niejako z boku co się w szkole dzieje i ingerują wówczas, gdy to jest potrzebne.

Szkoła jest pod opieką Akademii Nauk Pedagogicznych ZSRR, dwóch pracowników naukowych Akademii oddelegowanych jest na stałe do pracy w szkole, inni nauczyciele są aspirantami Akademii. Obserwacje czynione w szkole są naukowo przetwarzane i uogólniane, naukowcy też dają wskazówki jak sterować eksperymentem.

Szkolny dzień powszedni

Ale zobaczmy jak wygląda życie w tej szkole. Dzieci przebywają tu cały dzień, od 8 rano do 7 wieczorem. Rodzice bardzo sobie ponoć to chwala, mają cały dzień spokój. Przykładowo zobaczmy program dnia klasy szóstej. Między 8 a 8.15 odbywa się zebranie klasy (codzienne), poświęcone różnym aktualnym tematom. Stanowi ono wprowadzenie do bieżącego dnia. Zebranie prowadzi same dzieci (każda klasa wybiera swoją radę), choć czasami występuje tam również nauczyciel czy nawet dyrektor.

Następnie odbywają się 4 lekcje, przy czym po trzeciej następuje śniadanie (mleko, herbata, kawa, kanapki, paczki itd.). Po lekcjach dwie godziny pracy w warsztatach szkolnych. Z kolei obiad, a po nim godzina spaceru. Następują jeszcze 2 godziny lekcji na koniec, między 16.30, a 19, wolne zajęcia, podczas których młodzież odrabia lekcje do-

W tej szkole rządzi młodzież

more, ogląda filmy, bawi się w rozmaite kółka zainteresowań (na przykład fotograficznych, dramatycznym, muzycznym, sportowym, technicznym).

Szkoła kładzie ogromny nacisk na wychowanie. Temu między innymi służy praca, która tu odbywa się codziennie, gdy w normalnych szkołach Związku Radzieckiego — tylko dwa razy w tygodniu. Jedynie środa jest wyjątkiem z pracy, jest to bowiem dzień wycieczek. Nazywa się nawet „środą wycieczkową”. Młodzież udaje się w tym dniu do muzeów, na wystawy lub po prostu w las.

Praca zaczyna się od piątej klasy. Młodzież ma więc wtedy mniej więcej 11 lat. W szkole są warsztaty kra-

Od specjalnego wysłannika „Głosu” do ZSRR

wieckie, stolarskie, ślusarskie, tokarskie, modelarskie. Poszczególne klasy mają swoje „plany produkcyjne”, tygodniowe, miesięczne i wykonują je. Produkcja jest wykonywana na zamówienie rozmaitych instytucji, wiele towarów można znaleźć po prostu w moskiewskich domach towarowych, makietach szkół, stacji telewizyjnych, statków, różnych gmachów można spotkać nawet na wystawach, skrzynki, w których eksportuje się za granicę radzieckie zegarki wykonywane są w tej właśnie szkole.

Dziecięce zarobki

Skoro produkty szkoły są sprzedawane, znaczy to, że dzieci zarabiają pieniądze. Co się z nimi dzieje? Część zostaje w szkole, część przeznaczana się na jedzenie dzieci (jest ono dla części dzieci bezpłatne, dla reszty odpłatne). Najwięcej jednak pieniędzy przeznaczają się na letnie wakacje, na turystykę. Tego roku młodzież ufundowała sobie oboz na Krymie, w Karelii (daleka północ) i na Ukrainie. W ubiegłym roku byli na Uralu, na Altaju, nad Bałtykiem. I tak corocznie. Uprawiają „odpoczynek aktywny”, zwiedzają kraj, poznają jego miasta, zabijają od państwa ani kopiejkę, wszystko zawdzięczają swojej pracy.

Precz z werbalizmem!

Wróćmy jeszcze do nauki. Nowoczesne metody nauczania stosuje się w każdym przedmiocie. Więc zerwanie z werbalizmem, z wykładem. Wszystko należy przede wszystkim pokazać. W tym celu szkoła urządziła szereg gabinetów, laboratoriów. Tam właśnie młodzież może zobaczyć to, co znajduje się w programie. Gabinety są także otwarte popołudniami, po zajęciach, można

w nich dodatkowo pomyszkować, postudium radząc się kolegów czy też dyżurnego nauczyciela. Czas nauki własnej pozostawiono do wyboru młodzieży, podobnie jak i sprawę niesłuchania ważną i drażliwą — karności. Więc młodzież sama się kontroluje, sama się wychowuje. Pracę na przykład dzieci organizują sobie jak chcą, one też oceniają jej wyniki, kontrolują jakość. Ich zadaniem jest wykonać określony plan. Jak? Ich sprawa. Oczywiście przy pracy znajdują się również dorośli fachowcy, do niektórych procesów nie można bowiem dopuścić dziecka samego, ale i tu dorośli winni być przede wszystkim konsultantami, a nie kierownikami produkcji. Zajęcia lekcyjne planuje również młodzież, ona organizuje również pomoc w nauce. Stopnie z zachowania w dziennikach stawiają nie nauczyciele, lecz Rada Klasy, która na zakończenie roku szkolnego pisze każdemu uczniowi charakterystykę. Najwyższą instancją samorządu — Rada Szkoły — może nawet wydalic ze szkoły i zdarzały się już takie przypadki. Przedstawiciel Rady Szkoły uczestniczy także — i to z głosem decydującym — w posiedzeniach Rady Pedagogicznej.

Samorząd interesuje się wszelkimi potrzebami szkoły, nawet prace remontowe (ale jedynie te niewielkie) planuje i wykonuje rękami uczniów. „Rządy” młodzieży nie są więc bynajmniej malowane, to są rządy prawdziwe.

Po ukończeniu szkoły niektórzy absolwenci pozostają w warsztatach szkół i pracują bądź też znajdują zatrudnienie w innych warsztatach. Jest to jednak niewielki odsetek absolwentów. Nie jest bowiem zadaniem szkoły dać zawód do ręki, lecz przygotować do życia. Większość więc idzie na wyższe uczelnie bądź inaczej się kształca.

Co więc daje szkoła? Lidia Bronisławowna Szapoznikowa — jeden z dwóch pracowników naukowych Akademii Nauk Pedagogicznych zatrudnionych na stałe w szkole odpowiada: — Daje nawyki społecznego życia. Dzieci, kontrolując się same, mają znacznie lepiej opanowany materiał niż w innych szkołach. Nasz system pozwala nadto znacznie lepiej wykorzystywać siły pedagogów. Pracujemy w ten sposób już 7 lat. Na podobnym reżimie organizuje się już dalsze szkoły, niektóre już pracują, w Moskwie i w turskiej obłasti. Jesteśmy przekonani, że w takich metodach nauczania i wychowania przyszłość szkoły.

Stulecie książki polskiej w Bułgarii

Pierwszą książką pisarza polskiego przetłumaczoną na język bułgarski była powieść „ASAN” Zygmunta Miłkowskiego — T. T. Jeża. Było to przed stu laty. Treść książki nawiązywała do dzieł Bułgarów. Następnie wychodzi druga książka Z. Miłkowskiego „W zarianiu” (1890), i powieść J. Kraszewskiego „Barbara Ubryk” (1873) i in.

Literatura polską zainteresowali się najwybitniejsi pisarze i poeci m. in. Georgi Rakowski i P. Sławekow. W roku 1884 ukazał się „Konrad Wallenrod” w przekładzie Iwana Wazowa, następnie zaś (1901) fragmenty „Pana Tadeusza”. W tym okresie wyszła też „Antologia Słowiańska”, w której znalazły się przekłady utworów Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej i in. W roku 1921 znana poetka bułgarska Dora Gabe wydaje zbiór wierszy pt. „Poci polscy”. Zainteresowanie literaturą polską wzrasta, wychodzą z druku w przekładzie na język bułgarski utwory Sienkiewicza, Prusa, Słowackiego, Wyspiańskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego, Reymonta, Dygaszńskiego, Przybyszewskiego, Tetmajera.

Lata powojenne przyniosły ożywioną wymianę kulturalną między Polską a Bułgarią. Wzrosła też liczba przekładów dzieł autorów polskich w Bułgarii i bułgarskich w Polsce. W ciągu minionego dwudziestolecia wydano w Bułgarii przeszło sto tytułów autorów polskich w nakładzie przeszło 900.000 egzemplarzy. Ukazały się w tym czasie „Quo Vadis”, „Krzyżacy”, „Lalka”, „Placówka”, „Faraon”, „Ludzie bezdomni”, „Popioły”, „Przedwiośnie”, „Nad Niemnem”. Obok dzieł klasyków polskich wydaje się wiele utworów autorów współczesnych. (PAP)

Andrzeju Władzie, symbolu, Obiekie kpin bezustanny, Piosenek twoich dziś takną Jak z nieba grafo-manny!

Twych rymów częstochowszczyzna To — zda się — maestrii cuda, Gdy z niedorównów niechłujnych Wieje wymyślna nuda!

A potem można znów mętnie, Prze-smętne, ultra-tragiczne, I elitarno-niezdarnie I mito-nielogicznie!

Diablelnie kpiarska jest ta „Oda ku czci Andrzeja Władzie” (i chybą sporo w niej trafnych refleksji. Marianowicz dodał między innymi ducha takim jak ja. Takim, których wielki Waldorff w jednym z felietonów radiowych (12 ubm.) starał się klepać po ramieniu.

Jerzy Waldorff bardzo arbitralnie stwierdził: jeden pan z prasy oświadczył, że „Eurydyki” — owszem, ale to nie dla szerokiego społeczeństwa. — Dlaczego? — pytał Waldorff — dlaczego ów pan uważa społeczeństwo za głupie, za niedojrzałe? Społeczeństwo, przeciwnie, wielbi „Eurydyki”, tym samym dając dowód swego wyrobnienia. Społeczeństwa właśnie trzeba bronić przed fabrykantami piosenek i tekstów — taki był sens wypowiedzi felietonisty.

Muszę powiedzieć, że duserzy Waldorffa a propos tak zwanego poziomu szerokiego mas, wydały mi się chwytym, figurą retoryczną, potrzebną po prostu dla forsowania tezy, że „Eurydyki” i im podobne — to właśnie polski gen, to to, cośmy lansować powinni, o czym za chwilę. Bardziej rzeczowe i bez liczenia na popularność u publicz-

Piotr Życki

Muzom czy ludziom?

Sopockie echa

ności wydają się uwagi „owego pana z prasy”. Zwłaszcza, że nie jest on odosobniony w swych oceniach. Aleksander Rowiński („Express Wieczorny” z dnia 14 ubm.) wyraził na przykład delikatną opinię, iż „Eurydyki” są „udziwnione”. Leszek Goliński („Trybuna Ludu” z 17 ubm.) swe pokłosie sopockie zamyka konkluzją „...aby mniej śpiewano (w przyszłości — p) muzom, a więcej światu”. Marianowicz nie tylko kpi z Władzie...

Czy Waldorff ma rację, biorąc społeczeństwo w obronę przed „fabrykantami piosenek i tekstów”, a więc niejako hurtownikiem? Można mieć co do tego wątpliwości. Takich, co to pisaliby muzykę czy wiersze od wielkich dzwonów, a zawsze — rewelacyjnie, raczej nie ma. Przeciwnie, w potoku sporęj produkcji łatwiej o brylant czystej wody. Obok talentu doza rutyny (tak, tak!) jest pożądana.

Powiedział był Waldorff, iż zagraniczni jurorzy mieli ponoć radzić, byśmy miast naśladować obce rytmy i rymy — rozwijali własny styl piosenki poetycko-lyryczny. Może i tak radzili, choć srogię ogarniają cztka wątpliwości w czym interesie. I ogarnia tworga przeciętnego odbiorcę piosenek w obliczu wizji „Eurydyk” ustokrotnionych, podawanych w asyście lyryczno-poetyckich satelitek. Bo uprzedzicie artysty tej i jej podob-

nych piosenek został przypięceto-wany, ale — adapter temu, kto spośród stu przechońdów wyłoni dziesięcioosobową ekipę, zdolną zanucić sopockie czołowe dzieła.

— Aaa, tuś nam bratku! — krzykną w tym miejscu moi adwersarze. — Wreszcie obnażył pan, panie Żet, swe przyziemne myśli. Nucić, podśpiewywać, zachciewa się, ha!

Otóż — tak. Co więcej, gotowym twierdzić, że piosenka ma do spełnienia pewne społeczne funkcje. Nie, nie takie, jakie kiedyś chcieli jej przypisać („Ten nasz walczyk, ten nasz śliczny walczyk ide-o-o-giczny, co załatwia — wśród zabawy — wszystkie nasze dzienne sprawy...”). Ale chyba nie popelnienie herezji dowodząc, iż piosenki swymi rytmami, tekstami i aranżem — wpływają na nasz nastrój.

Nikt nie zaprzeczy, że nasza społeczność na brak kompleksiarzy, sfrustrowańców i melancholików — nie cierpi. Co robić, Polacy nie Włosi i swój nastrój mają: smętno-pomurawy. A tu z głośników leje się na ogół lyryczno-żalowo, żeby nie powiedzieć — maza-gowało i do tego w trudnej dla ucha melodii. Ani zaśpiewać, ani się raźniej poczuć, jeśli pominie-my żywsze rytmy, nie wiadomo czemu dawowane skąpo.

Przyjemne uwagi, cóż robić. Ale szczerze, takie, jakie wyrażają śmiertelnicy o jakim-takim uchu. Lansujmy własny styl, własny styl to piękna rzecz. Lecz nie ma się czego wstydić, jeśli nie wszystko wypadnie extraoryginalnie.

Dlatego za rozsądną uważam propozycję A. Rowińskiego („Express Wieczorny” z 19 ubm.), by w Sopocie nagradzać piosenki w dwu kategoriach. To na pewno dobry kompromis. Nie podoba mi się tylko proponowany przez Rowińskiego podział na — cytuję — „piosenki artystyczne i rytmiczne, szlagierowe”. Czyżby społeczny krytyk a priori wykluczał artystyczny kształt przeboju, a zarazem piosenkom „artystycznym” odmawiał prawa do rytmiczności?!

„Mit Musik geht alles besser” („Z muzyką raźniej”) — przekład wolny, pż — mawiają Niemcy. I choć o ich muzyce rozrywkowej można mieć nie najlepsze mniemanie, samo zawołanie jest z pewnością słuszne. Pytanie, komu raźniej z naszą żalowo-smętą muzyką rozrywkową? Piękno duchom? Bo takim jak ja — nie. Ba, nie tylko takim jak ja. Nawet Załuckiemu!!! „Nieszczęściem w piosence” określa nasz czołowy satyryk to, co stało się w Sopocie („Szpilki” nr 36), formułując kapitalną opinię:

Złotone tony, smutne słowa — martyrologia rozrywkowa...

Antoni Marianowicz, „Szpilki” nr 35, przedruk stanowi jedynie fragment. Andrzej Wład był popularnym autorem tekstów piosenek w okresie międzywojennym.

Kowalski i szesnaście poderwanych

Małe konterfektory socjologiczne

Pewien socjolog poznał autentycznego „podrywacza” i przeczytał 122 listy, pisane do niego przez 16 „poderwanych” w ciągu trzech lat. Bohater jest kawalerem, mieszkańcem stolicy, ma wyższe wykształcenie, wiek (na początku korespondencji) 22 lata, zawód związany z częstymi wyjazdami w teren. Nie nazywa się wprawdzie Kazimierz Kowalski, ale wszystkie pozostałe dane o nim, łącznie z wyjątkami z listów, są co do języka prawdziwe.

„Podrywanie” jest nowym tworem językowym. Stąd często spotykana opinia, że sama rzecz należy wyłącznie do „obecnego czasu”. Dla wielu osób jest nawet koronnym dowodem zepsucia młodzieży. Jak to wygląda naprawdę, w świetle badań prowadzonych przez naukowca? Zastrzegając, że sprawy między dwójkiem ludzi nie dają się tak łatwo zidentyfikować, przedstawmy w skrócie wyniki socjologicznej obserwacji „poderwanych” przez Kazia niewiast.

Listy z serduszkami

W ciągu trzech lat, osiem spośród nich napisało do Kowalskiego po jednym liście, trzy po dwa listy, jedna — trzy. Widać stąd, że 12 kobiet szybko wyliczyło się ze złudzeń. Z pozostałych czterech (25 procent badanej grupy), jedna wysłała Kowalskiemu 9 listów, inna — 12, następna 37 i ostatnia 47. Ta najwytrwalsza korespondowała z Kaziem przez 137 dni, czyli że przerwy między jej listami trwały przeciętnie tylko po 3,5 dnia.

Wśród kandydatek na polskie panny de Lespinasse były podlotki i matki dzieciom, panny, rozwódki i mężatki, uczennice i osoby zatrudnione na poważnych stanowiskach, mieszkanki miast wojewódzkich i małych osiedli prowincjonalnych. „Firmową mieszankę” kociaków, kociątek i starszych kocic łączyło jedno: niepołączona chęć „wielkiego niepoznania”, które niosła znajomość z uroczym, wykształconym, pracującym w ciekawym zawodzie Kazimierzem Kowalskim z Warszawy.

Cynizm? nie! — Romantyka...

Oto jak wyrażały one swoje nadzieje: „Od pierwszego spojrzenia zaciekałem cię. Było to dla mnie interesujące poznać takiego faceta, jak ty. Czytałem romantyczne książki i żyłem nadzieją, że może kiedyś będę miała inne życie. Bo w tej miejscowości nie ma nic specjalnego.”

„Stasznie bym chciała powłóczyć się z tobą, tyrać jak oślica, nie dospać, nie dojeść, chuliganie, tak żyć przysługą, jak ty żyjesz...”

„Zaczynam ci zazdrościć tych ciągłych rozjazdów, przynajmniej coś zobaczysz...”

„U nas nie ma specjalnych rozrywek, ani też przystojnych i sympatycznych chłopców, tak, że się nudzi...”

Stosunek z Kaziem był więc ich życiową szansą. Szansą wyrwania się z „pustki”, „bezsensu”, „nudy”, z „jednego dnia podobnego do drugiego”, z „nic się nie dzieje”. Poza tym, działał pobudzająco na energię kobiet, podpowiadał im, w jaki spo-

sób, nawet, nie czekając na dopust losu w postaci małżeństwa z Kowalskim, mogą zmienić obecne położenie przez powzięcie „nowoczesnej” decyzji:

„Dowiedz się, kiedy będą egzaminy, bo już czas, aby naprawdę wziąć się do tego...”

„Mysię, że teraz będę się uczyć, bo mam nareszcie cel...”

„Bardzo chciałabym trochę postudium...”

„Idę do pracy, by być całkowicie niezależną...”

Od pana Wołodyjowskiego do pana Kowalskiego

Ale dziewczynom nie wystarczy nadzieja wielkiej przysługi, muszą dopuścić do głosu bezinteresowne porwy serca, inaczej nie wyobrażają sobie gry miłosnej. Podziwiają Kazia:

„Ty jesteś twardy i zasadniczy...”, „Jesteś naprawdę cudowny i taki dobry...”, „Masz twardy charakter, masz swoją pasję...”, „Łączysz w sobie siłę charakteru z wrażliwością serca...”, „Twoja, bujna fantazja...”, „Twoje wspaniałe wyczyny...”

Co przypomina ten konterfekt? Jest to wypisz-wymaluj wizerunek pozytywnego bohatera, tikuącego się od dziesiątków lat po kartach polskiej (i światowej...) literatury. Jan Skrzetuski, Michał Wołodyjowski, Stanisław Wokulski, Stefan Solski z „Emancypantek”, Stanisław Połaniecki z „Rodziny Połanieckich” — czyż nie byli twardzi, zasadniczy, energiczni, pełni pasji, dobrzy, wrażliwi?

Jest, co prawda, między nimi a Kaziem, zasadnicza różnica. Tamci kochali na śmierć i życie, gdy tymczasem Kowalski... Pamiętamy jednak, że nasza wielka literatura stawiała sobie szczytne cele wychowawcze, gdy rozprawka o Kowalskim sygnalizuje tylko pewne społeczne zjawisko.

(Zresztą po prawdzie, pan Wołodyjowski — nim poznał Basię — starał się uwieść Anusie i Krysię, atoli mu prezencki nie starczyło... Pan Wokulski, rozczarowany do Izabelli, pojechał do Paryża i „unurzał się w rozpamiętanie”. A pan Stanisław Połaniecki beżelnie zdradzał anielską małżonkę i zreflektował się dopiero, gdy zdradzona, omaal nie skończyła na jego rękach...)

Boże, broń, nie pochwalamy wyczynów Kazia Kowalskiego. Ale też nie uważamy, by świadczyły one o „zgniliznie moralnej obecnego czasu”. Podrywaczę są zjawiskiem starym, jak świat, że przypomnimy najsłynniejszych: rajskiego Węża, Parysa — zdobywcę Heleny Menełajowej, Apollina — kochanka wszystkich dziewczęciu Muz, oraz naszego rodzimego króla Augusta II, Mocnego, którego przydomek wywodzi się z faktu, że posiadał około dwóch setek nieślubnych dzieci... A wszędzie tam, gdzie są i byli podrywacze — byli, są i będą podrywane. Specyfika naszych czasów wpływa na to, że jedni i drugie występują bardziej jawnie, niż w epoce pradziadków, a sama czynność „podrywania” jest łatwiejsza do zaobserwowania, niż dawne „uwodzenie”. Współczesna „poderwana”, na ogół nie odchodzi ze złamanym sercem, ani tym bardziej życiem, jak to bywało u onegdajszych uwiedzionych. Ale taką zmianę trudno przecież potępić...

Rewolucja agrarna w Poznańskim

Dokończenie ze str. 1

gruntów, z tego na ziemiach dawnych — 2384 400 hektarów, a na Ziemiach Odzyskanych — 3 685 700 hektarów. Liczba nadzielonych rodzin chłopskich wyniosła 1 068 400 (na ziemiach dawnych — 466 900, a na Ziemiach Odzyskanych — 601 500), natomiast nowo utworzonych gospodarstw — 813 900, a powiększonych — 254 500. W wyniku reformy rolnej, 87,5 procent ziemi znalazło się w rękach chłopów, 12,5 procent w posiadaniu PGR oraz instytucji społecznych. Prawie 2/3 nadzielonej ziemi otrzymali (na terenach dawnych) robotnicy rolni i bezrolni, a blisko 1/3 chłopów — posiadaczy gospodarstw do 5 hektarów. Ze względu na to, że przeciętna wielkość nowo utworzonego gospodarstwa wynosiła na ziemiach dawnych 5,4 hektarów, a na ziemiach zachodnich i północnych — 7,9 hektarów — centralną figurą na wsi stał się średniak. Dzięki reformie rolnej wzrosła się pozycja chłopstwa, w skład którego weszła przecież podstawowa część dawnej służby folwarcznej. Proces przekształcania się robotników rolnych w chłopów, z parcelantów — w gospodarzy na swojej ziemi, wymagał od nadzielonych ziemi, wielu wyrzeczeń i właściwie trwa jeszcze do dziś.

Zjawisko to miało szczególne znaczenie dla Wielkopolski, gdzie przeciętne odsetki nadzielonych ziemi robotników rolnych od lipca 1945 do końca 1946 roku, kształtował się w granicach: 72,5—54,4 procent; o trzymali oni w tym czasie ponad 70 procent gruntów. Wskutek reformy rolnej i osadnictwa, na terenie województwa poznańskiego (w granicach administracyjnych, obowiązujących od 1951 roku, z powiatem Trzcianka), rozparcelowano łącznie 597 200 hektarów ziemi, z tego na gospodarstwa nowo utworzone przypadało 531,5 tysiąca hektarów (87,6 procent), a na powiększone — 65,7 tysiąca hektarów.

Z tych danych wynika, że w województwie poznańskim najwięcej gospodarstw średniorolnych powstało od nowa, a na pozostałych ziemiach — na skutek upelnorolnienia. Zmniejszyła się też znacznie liczba gospodarstw wielkoobszarowych, m.in. na skutek podziału dużych gospodarstw poniemieckich (akcja osadnictwa).

Reforma rolna na ziemiach dawnych i w Wielkopolsce, podyktowana koniecznością ekonomiczną i społeczno-polityczną, była aktem historycznym, którego dodatnie skutki obserwujemy przez dwadzieścia minionych lat.

MARIA KEMPARA

*) Autorka niniejszego artykułu opierała się głównie na nie opublikowanej jeszcze pracy doktorskiej mgr Zygmunta Paterczyka pt. „Reforma rolna w Wielkopolsce 1945—1948” (skrypt powielony), „Małym Roczniku Statystycznym”, „Wsi w liczbach” oraz dokumentach ekspozycyjnych w Muzeum im. M. Kasprzaka na wystawie, obrazującej narodziny wsi ludowej.

Kto ma rację?

W londyńskim świecie teatralnym rozpułała się nowa burza wokół Królewskiego Teatru Szekspirowskiego, który działa na dwu scenach — w teatrze Aldwych w Londynie i w Stratfordzie nad Avonem. W bieżącym sezonie teatr ten rozpoczął pracę pod nowym kierownictwem Jetera Halla, który wprowadził do repertuaru kilka sztuk, które można by nazwać awangardowymi, eksperymentalnymi. Nie spodobało się to niektórym teatromanom, przyzwyczajonym do klasycznego repertuaru na scenie Aldwych Theatre.

Szczególnie obruszył się były dyrektor Teatru Szekspirowskiego — Emile Littler, który określił ostatni sezon na tej scenie jako „oplakany, obniżający reputację teatru i zniechęcający publiczność”. Littler zaatakował zwłaszcza sztukę współczesnego angielskiego pisarza Davida Rudkina (mającą za temat rytualne morderstwo) oraz sztukę niemieckiego dramaturga Petera Wissa o Maracie w reżyserii Petera Brooka.

Peter Hall odrzucił krytykę Littlera stwierdzając, że wbrew opinii przeciwników eksperymentu obecny sezon należy do najlepszych w okresie istnienia Teatru Szekspirowskiego, a sztuka Wissa o Maracie cieszyła się wielkim powodzeniem.

Wszystko wskazuje na to — stwierdza depesza Reutera — że Peter Hall i reżyser Peter Brook — należący do najwybitniejszych angielskich reżyserów teatralnych — nie ugną się przed presją i będą kontynuować dotychczasową politykę repertuarową w Teatrze Szekspirowskim.

PAP

Eugeniusz Paukszt

Oficina na Wiejskiej

Boąło zapowiada się jesień wydawnicza. Posypały się jak z rogu obfitości całe słoty nowości i MON-u i PIW-u i „Czytelnika” i innych wydawnictw. Przekłady, teksty polskich autorów, w tym wiele wspomnień. Boąły wybór na najbliższe tygodnie. Trzeba jednak przekazywać to w jakimś porządku. Dzisiaj zatem zaczniemy od „Czytelnika”.

W serii „Nike” nowa pozycja, tym razem z literatury amerykańskiej. „Serce to samotny myśliwy” Carsona McCullera, zaskakuje po prostu dojrzałością tej prozy, nawet gdy się wie, że autorka należy do czołowych pisarek amerykańskiego. Bardzo głęboki i subtelny obraz przeżyć ludzi nie z własnej winy wyrzuconych za nawias tłumy, w osamotnieniu snujących swój los i budujących własną wizję świata.

W przekładzie Natalii Gałczyńskiej otrzymaliśmy tom Wsiewłoda Iwanowa „Wędrujemy do Indii”, ni to powieść, ni to gawędziarskie wspomnienie, gdzie i lekka liryczna i rubaszny, dosadny humor, sentyment obok oschłości, a wszystko jest osnute na fle przyrody Kazachstanu; w ścieżkach i miastach, wśród boątych i biednych, w okresie sprzed pierwszej wojny światowej. Autor wędruje, doznając niebagatelnych przygód, a romantyczne widzenie zjawisk zezwala mu w ten sposób śnić swój niezrealizowany sen o przygodzie w Indiach.

I jeszcze jeden z „czytelnikowskich” przekładów. Tom Josifa Gierasimowa „Mój dom na ziemi”, to przykład nurlu obyczajowo-psychologicznego we współczesnej powieści radzieckiej, dobra powieść i z uwagi na temat (lotnicy na liniach komunikacyjnych) i nade wszystko na powagę i głębię potraktowania spraw codziennego żywota ludzkiego. Dobre, mocne sylwetki. Śmiało ukazanie istotnych wewnętrznych konfliktów.

A teraz autorzy polscy. Swego rodzaju „bestsellerem” stanie się z pewnością tom wspomnień Leona Chajna „Kiedy Lublin był Warszawą”. Owczesny organizator rezerwy sprawiedliwości, wybitny działacz SD, oddający atmosferę pierwszego roku budowa-

nia władzy w wyzwolonej ojczyźnie. Sprawy zasadnicze, tragiczne czasem obok epizodów humorystycznych. Sensacja i zabawa, wiew patosu i drobne śmieszności. Przy tym wydobyla z zapomnienia szereg faktów i zjawisk, które i sami przecież tak dobrze poznawaliśmy, aż w końcu wspomnienia stają się jakby wspólną wędrówką przez tamten czas.

Bohdan Drozdowski przeżywa czas urodzaju, coraz to racząc nas nową książką. „Jutro powrócą plaki”, opowieść reporterska, jak podaje autor w podtytule, jest rzeczywiście jakby większym szkicem obyczajowo-psychologicznym, dosyć osro i mocno zarysowanym obrazem współczesnej wsi. Bo w końcu cała ta reporterska wyprawa, była ona czy nie była, jest prefektem jedynie do pokazania wachlarza postaw ludzkich w naszym ciekawym, ale nie najtańszym czasie, kiedy w ludziach przełamują się różne sprawy i świat zaczyna wyglądać inaczej. Tekst dobrze się czyta, choć chwilami powstaje do autora żal: gdyby ten utwór został inaczej dopracowany, połączony, ileż by na tym zyskał.

Barbara Nawrocka w powieści „Odłot za tydzień”, również zajmuje się problematyką psychologiczno-obyczajową, ale tym razem ze środowiska inteligenckiego. Bohaterem jest młody inżynier, usiłujący godzić sprawy zawodowe ze sprawami uczucia, co wplątuje go w wewnętrzne konflikty. Bardzo ciekawy i trafny obraz środowiska zyskuje przy jakimś ujęciu połączonym, stojąc się jakimś wycinkiem współczesnego obrazu Polski.

Jednym tchem przeczytałam wspomnienia Marii Rutkiewicz „Granica istnienia”, podane w dobrej literackiej formie, a związane z okresem okupacji i lewicowym podziemiem od dnia, kiedy autorka wylądowała na spadochronie pod Warszawą, stając od nowa do walki. Pisze te wspomnienia kobieta, są więc zrozumiałe akcenty liryczne, iakieś ciepłejsze nutki. Ale zarazem bardzo męska i mocna to książka.

Z książką na ty



O POLSKO-NIEMIECKICH SPRAWACH

Rocznica wybuchu II wojny światowej stała się okazją nie tylko do przypomnienia przyczyn klęski ówczesnej Polski, ale także do zastanowienia się nad teraźniejszym stanem i przyszłością polsko-niemiecką. Takie rozważania snuje między innymi Dominik Horodyński na łamach „Kultury”.

„Zakładając perspektywę pokojową — a inna odrzucamy — musi dojść kiedyś do normalnej współpracy Polski z obu państwami niemieckimi, z całym narodem niemieckim — pisze autor. I jeśli my w Polsce, pamiętamy o złej przeszłości to nie po to, by ludzi przeciwko sobie Polaków i Niemców z NRF. Pamiętamy o niej — i pamiętać winniśmy zawsze — z dwóch powodów. Po pierwsze, tutaj na naszej ziemi w imię narodu niemieckiego dokonane zostały rzeczy, o których, ze względu na czyste ludzkie nie wolno nam zapomnieć, ze względu na wierność naszemu krajowi i pamięć tych, którzy w obronie jego godności padli — równie. Po drugie — pamiętamy i chcemy, by o przeszłości pamiętali i Niemcy — gdyż złą przeszłość wspólnie tylko możemy przezwyciężyć.”

Dlaczego powinniśmy pamiętać o tych sprawach, przypomina także Eugeniusz Guz na łamach „Walki Młodych”. Zadał on sobie trud przewertowania podręczników nauki historii będących w obiegu w NRD i NRF.

„W podręcznikach NRD sprawie napaści Hitlera na Polskę poświęca się rozdziały pod wymownymi tytułami: Faszystowska napaść na Polskę, Napaść niemieckich imperialistów na Polskę. W Podręcznikach NRF natomiast z upływem lat sprawom tym poświęca się coraz mniej uwagi. Oto przykłady: W r. 1949 antyfaszystowskiemu ruchowi oporu poświęcono 8 stron w podręczniku, a w 1958 r. — ani słowa. Obozom koncentracyjnym w 1949 r. poświęcono 5 stron, w 1958 r. — ani słowa.”

„Polityka” piórem Stefana Jellenty przedstawia nowe fakty i relacje o prowokacji gliwickiej.

KŁOPOTY Z REALIZMEM

Artykuł polemiczny na temat realizmu w związku z głośną także w Polsce książką Rogera Garaudy „O realizmie bez granic”. Zamieszcza w „Polityce” Tadeusz Dobrowolski. Autor występuje przeciwko nadużywaniu realizmu, bo — jak pisze:

„...ani kubizm ani surrealizm nie są i nie mogą być realizmem. Sądzę, że zamienne stosowanie wyrazów jest niepotrzebne a nawet szkodliwe. Prowadzi bowiem do pojęciowego chaosu i zamazuje esencję rzeczy.”

Zgadzać się na artystyczne eksperymenty, autor nie bez słuszności zastrzega się:

„Byłoby jednak niedobrze, gdyby eksperymentowanie trwało w nieskończoność, zastępując tworzenie dzieł wielkich, dostępnych zbiorowej percepcji. Historia uczy bowiem, że właśnie takie dzieła zdobywają sobie szeroki zasięg społecznego odbioru i wytyczają główne kierunki ewolucji artystycznej.”

„EPIDEMICZNY URODZAJ”

Takim tytułem zaopatruje Lech Życki na łamach „Tygodnika Kulturalnego” artykuł o skupie owoców i handlu nimi.

„Co roku przeżywamy — pisze — zjawiska albo klęski urodzaju albo braku owoców. I co roku handel jest nieprzygotowany do „trudności”.

Ślad wniosek o zastąpieniu improwizacji w skupie długą polityką i drugi — o umiejętności nasytania rynku:

„Skończy się „eksplozja” jabłek i konsumentów znowu damy do wyboru wybiarki albo owoce po wysokich cenach, co automatycznie ogranicza jego możliwości nabycia. A nasz nabywca jest wdzięczny z natury rzeczy: kupuje co jest, bo wybrać nie bardzo ma w czym.”

DOBRE CENY ZA ZŁY TOWAR

Ten sam temat porusza Edward Budzich w drugim z kolei artykule na łamach „Życia Gospodarczego”. Jego zdaniem ceny /skupu owoców i warzyw wzrosły ponad poziom uzasadniony kosztami racjonalnie zorganizowanej produkcji.

„Hamulcem rozwoju produkcji ogrodniczej nie są zbyt niskie ceny skupu — czytamy — ale zbyt niski poziom fachowy producentów, niedostatek dobrej zaopatrzenia w narzędzia i środki ochrony roślin oraz nie dość sprawna organizacja obrotu i przetwórstwa.”

Autor podnosi i to, co sygnalizowaliśmy między innymi w naszej zeszytowanej akcji „Witaminy dla rodziny”: brak organizacji, która czuwałaby się w pełni odpowiedzialna za kształtowanie produkcji warzyw i owoców oraz za ich

zbyt. Nie spełniają bowiem tego zadania konkurujące ze sobą przedsiębiorstwa skupu.

DLACZEGO ULEGAMY

W cotygodniowym felietonie drukowanym na łamach „Kultury” Jan Szelaż zajmuje się tym razem między innymi sprawą ustępowania wobec słabości. Ołó zamykamy kioski z piwem, wołamy o zamykanie restauracji, bo są one miejscem zbiorów chuliganów.

„Jeśli mamy zamykać kioski z piwem i lokale gastronomiczne — pisze Szelaż — dlatego, że tam gromadzą się chuligani, to ostrzegam, że niedługo będziemy musieli chodzić poprzez nasz kraj pięszko, bo należy czym prędzej zlikwidować koleje i PKS, bo nigdzie nie ma więcej chuliganów niż w tych środkach komunikacji i na dworcach. W rezultacie możemy dojść do ulegania do zamykania całych ulic, dzielnic, placów i miast, bo tam się gromadzą chuligani...” Ustępować wobec konieczności, wobec słuszności, to zasada słuszna — kończy Szelaż. Ustępować zawsze i to ustępować złu to przesada.”

„Szpilki” na stronie tytułowej wzywają do ochrony zabytków: słownego dostawcy, solidnego rzemieślnika, dobrego kucharza, uprzejmego sprzedawcy, uprzejmego kelnera, (rysunki Eryka Lipińskiego). Kłisiel w „Tygodniku Powszechnym” w stałym felietonie podaje „sałatkę z nerwów”; krytykuje m. in. sopocki festiwal piosenki za nudę i staroświecki „romantyzm” najgorszego gatunku, pretensjonalność i niezrozumiałość. Mowa o nagrodzonych piosenkach, którym poświęcamy felieton na str. 1 dzisiejszego „Głosu Tygodnia”.

LEKTOR